

Liczy się każde życie

Daniel Hermanowicz

— Ile ty masz w ogóle lat gówniarzu?

— Dwadzieścia trzy panie kierowniku.

— O niech mnie stara kurwa na ostatnie euro ojebie! Ile?!

Młodzieniec taktownie nie skomentował inwektyw i z uprzejmym uśmiechem czekał na dalszy ciąg rozmowy kwalifikacyjnej.

— No dobra... — odchrząknął kadrowiec, poprawiając nieco wymiętą marynarkę i głęboko zaciągając się papierosem. Zerknął na CV. — No to nie masz za dużo doświadczenie w tym biznesie, co? Panie... Ratajski?

— Absolutnie żadnego. Oleg wystarczy.

— Ech... Na wojnie byłeś?

— Której?

— Obojętnie.

— Aha. To nie. — Oleg wzruszył ramionami i wykrzywił cynicznie wargi.

— Ja pierdolę, żartowniś się znalazł... — warknął rekruter. — Przeszkolenie medyczne jakies chyba przeszedłeś? Czy tak o uznałeś, że fajnie byłoby pobawić się w lekarza i niesiony fantazją przylazłeś na nabór? — zaszeleściły kartki wertowanej dokumentacji.

— Wolna Akademia Medyczna Konfederacji Śląskiej. Obroniłem się w zeszłym roku.

Kierownik łypnął na niego znad akt.

— Formalne wykształcenie? Imponujące. No ale jednak Ślązak... — rekruter splunął na podłogę. — Przykro mi. Doświadczenie bojowe wciąż jest wymogiem niezbędnym, dziękujemy za zainteresowanie.

— Urodziłem się i wychowałem tu w Poznaniu, na Nowej Wildzie. — Młody lekarz spoważniał, mrużąc lekko oczy, a jego głos delikatnie zadrżał.

— Och?

Oleg podwinął rękaw i pokazał mu mały tatuaż płonącego kozła w bikini, tańczącego wokół pręgieża.

Kierownik wlepił przerażone spojrzenie w tatuaż. Po chwili przeniósł wzrok prosto w oczy Olega, po czym leniwym ruchem sięgnął po srebrną papierośnicę na biurku i bezpretensjonalnie schował ją do szafki za sobą. Po chwili namysłu dołożył tam też swój portfel.

Szufladę oczywiście natychmiast zamknął na kod.

— Skoro tak... — ciągnął rekruter jak gdyby nigdy nic. — Załatwia to nam problem śląskości i umiejętności bojowych. Tatuaz wystarczy jako referencje. W sumie to faktycznie na Ślązaka nie wyglądasz.

— Co mnie zdradziło? — sarknął Oleg, zapinając mankiet koszuli. — Brak akcentu? Deficyt ran wojennych? Zero blizn po polskich obozach tortur?

— Hola! — warknął rekruter — Nie cwaniakuj, doskonale wiesz gdzie leży lojalność naszej firmy.

Oleg uniósł nieznacznie brew.

— Myślałem, że korporacje mają to do siebie, że są lojalne gotówce, a nie rządowi. W sumie to właśnie tego typu brak lojalności skierował mnie pod wasze drzwi.

— Ech, szczeniaku. Niby tak, ale... no dobra, dostaniesz gratis ważną lekcję dorosłości — rekruter skrzywił się okrutnie i zgasił papierosa na biurku. — Korporacje są lojalne względem akcjonariuszy. Czasami akcjonariusze to rząd.

Oleg chrząknął, potakując z zamysłem. Rekruter poszeleścił jeszcze trochę papierami, po czym sprawdził to i owo w swoim nadgarstkowym terminalu.

— No dobra, w sumie czemu nie? Na próbę możemy cię zaangażować. 2800 Euro za godzinę, dostaniesz robocze ciuchy i firmową giwerę. Cztery magazynki na akcję, za każdy nabój ponad stan musisz wyłożyć z własnej kieszeni.

— Dwa osiemset? Żarty! — fuknął młody lekarz.

— Nie pasuje ci, to drzwi są szeroko otwarte. Hiperinflacja walnęła najbardziej w korpo. Zwłaszcza ubezpieczycieli zdrowotnych, takich jak my.

Oleg sarknął, ale nie skomentował. Lepsze drobne niż nic.

— A dragi?

— Dla klientów zawsze w zależności od pakietu. Wszystko będzie w aktach. — Kierownik klepał się po marynarce w poszukiwaniu papierosów. — Uprzedzając pytania: dla ekipy nie przysługuje nawet pół złamanej aspiryny.

— Co? — zachnął się Oleg. — A jak oberwie ktoś z mojej obstawy? Mam go po prostu zostawić?

— Czy ja mówię, kurwa niewyraźnie?! — warknął kierownik, nerwowo odpakowując stary plaster nikotynowy. — Bierzesz tę robotę, czy nie?

Rekruter bezpardonowo rzucił tablet z kontraktem na biurko, a obok niego położył odrapana, metalową odznakę. Krew poprzedniego właściciela jeszcze nie zdążyła szernieć na białej

tarczy z błękitną laską eskulapa, dzierżoną w szponach białego orła. Pod spodem widniał lakoniczny napis:

MEDIKOPTER S.A.
LEKARZ

— Ku chwale pierwszej rzeczykorporacyjnej polskiej. — Oleg zasalutował cynicznie, po czym przystawił kciuk pod umowę i zabrał odznakę.

* * *

Oleg cmoknął zde gustowany jakością wydanego mu sprzętu. Glock 27, cztery magazynki, lekka kamizelka z duravlaru i korporacyjny *smartsleev*, nieoczyszczony z krwi poprzedniego właściciela. Młody lekarz wprawnym, wyćwiczonym ruchem rozłożył sprzęt medyczny. Wszystko wydawało się na miejscu, nawet apteczka farmakologiczna, chociaż nie zawierała nic ciekawszego od polowego nano-enfluranu w podręcznych inhalatorach. Wciąż mrucząc z niezadowolenia wyciągnął soniczny zestaw do dezynfekcji i pieczołowicie oczyścił styki do wszczepów na swoim nowym *smartsleeve*. Kiedy był już zadowolony z rezultatów zręcznie wypiął ze swojego lewego przedramienia prywatny model i podpiął korporacyjne cudeńko, nowsze o co najmniej trzy generacje. Podskórne wszczepy zaswędziały straszliwie, gdy *smartsleev* zaczął wgrywać się do jego systemu operacyjnego. Na siatkówce oka zaczęły mu wyskakiwać poszczególne komunikaty dot. zgód na przetwarzanie danych osobowych, ale wzorem tradycji sięgających jeszcze poprzedniego stulecia skrzętnie je zignorował i zaakceptował wszystko jak leci. Następnie spakował swoją torbę, przerobił ją na plecak kilkoma prywatnymi karabińczykami i przeszedł do przyjemniejszego etapu przygotowań do pracy.

Z wprawą doświadczonego ulicznika sprawdził swojego nowego Glocka. Rękojeść pistoletu była nieco wyślizgana, a szczerbinka... cóż, wyszczerbiona. Poza tym broń była jednak w świetnym stanie. Wyciąg i wyrzutnik były doskonale nasmarowane, a cyngiel chodził z lekkością charakterystyczną dla niemieckiego producenta. Jednak co import, to jakość. Broń od Łucznika choć tańsza i domowej produkcji, to nie dorastała szwabskim konkurentom do pięt. Po kilku przeładowaniach i sprawdzeniu nasmarowania z zadowoleniem przypiął kaburę do uda, a magazynki wsunął do ładownic kamizelki. Potem zarzucił plecak ze sprzętem ratowniczym na plecy i wyszedł z szatni w poszukiwaniu swojego oddziału.

Natychmiast wpadł na kobietę gabarytów i aparycji lekko opancerzonego czołgu.

— Coś ty za jeden? — warknęła, popychając go na ścianę. Oleg poczuł jak powietrze mimowolnie ucieka z jego płuc, a silne jak imadła palce zaciskają się na jego szyi we względnie przyjaznym powitaniu.

— Nowy. — charknął rozpaczliwie. — Oleg Ratajski.

Lekarz zdążył zobaczyć długi blond warkocz, zimne niebieskie oczy i podobną do niego odznakę przypiętą do kompozytowego pancerza bojowego, który zdecydowanie widział lepsze czasy, zanim powidoki bólu zamroczyły mu oczy.

— Ha! — Kobieta puściła lekarza i klepnęła go w ramię z taką siłą, która prawie złamała mu obojczyk. — Do którego medikoptera cię wsadzili?

— Trzydzieści trzy. — odmruknął rozsmarowując bark i gardło.

— Ha!!! No to witamy w ekipie „czy-czy”. Jestem Helga!

Pół-baba-pół-czołg dźgnęła się w odznakę, na której widniał enigmatyczny tytuł „Specjalista”.

— Specjalista od czego? — bezwiednie wypalił Oleg.

— Utrzymania cię przy życiu. — Helga wyszczerzyła się drapieżnie. — Poznałeś już resztę?

Oleg pokręcił głową, na co Helga bezceremonialnie wzięła go pod ramię i zaciągnęła do hangaru.

Na płycie startowej szpitala stało kilkanaście identycznych, podziurawionych kulami wiroplatów z podwójnymi rotorami na końcach krótkich skrzydeł. Maszyny były zwinne, relatywnie szybkie i tanie. Idealne ambulanse na tak rozlazłe miasto, jakim był Poznań.

Oleg gwizdnął z podziwu. Nie spodziewał się tak zorganizowanego lądowiska. Skrzynie z ogniwami paliwowymi stały nawet za specjalnymi osłonami przeciwpożarowymi. Nie przeszkadzało to co prawda kilku pilotom w beztroskim popalaniu cygar w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Niestety życie jeszcze w dzieciństwie nauczyło Olega, że pewne rzeczy były poza kontrolą nawet najlepiej zorganizowanej korporacji. Na przykład społeczny brak instynktu samozachowawczego.

Helga zaciągnęła lekarza do lekko zdezelowanego wiroplata w roku hangaru. Na jego czerwono-niebieskim kadłubie ktoś fluorescencyjnym sprejem machnął numer 33.

Przy medikopterze stało dwóch mężczyzn w średnim wieku, popijających wódkę prosto z puszek. Na widok Helgi zasalutowali jej trunkiem. Na widok Olega, zmrużyli podejrzliwie oczy.

— To Grzesiu, nasz pilot. A to Majseł. — Helga uśmiechnęła się promiennie, machając do osiłka niewiele tylko mniejszego od niej samej. — Majseł jest najlepszym kanonierem na tym fyrtku. Z nim przy CKM-ie nie musimy się fefrać żadnego gangu!

Oleg aż skrzywił się na dźwięk wielkopolskiej gwary. Przypominała mu zmarnowane dzieciństwo.

— Nasz pilot żłopie wodę na dyżurze? — upewnił się ostrożnie Oleg, starając się uświadomić Heldze, że być może nie jest to najlepszy pomysł dla osoby kierującej ciężką maszyną.

— No. Inaczej się trochę dryga na akcji. Dobrze mu robi na nerwy.

— Polemizowałbym. — mruknął Oleg.

Przywitania z resztą ekipy były dość krótkie. Wymiana nieuprzejmości, głośne wyrażenie niezadowolenia z powodu ewidentnego stanu upojenia pilota i krótka bójka z kanonierem weryfikująca referencje lekarza.

Dwa ukruszone zęby, wybity palec i kilka siniaków później Majseł wypuścił medyka ze swojego niedźwiedziego uścisku i skinął z aprobatą głową. Przez całe „powitanie” nie odezwał się nawet słowem. Oleg splunął krwią, a Helga radośnie klepnęła go w plecy, wzmagając niezidentyfikowany ból w żebrach. Oficjalnie byli już przyjaciółmi.

Przynajmniej na następne parę minut.

— Dobra, to jak to działa? — wymruczał Oleg do Helgi, sprawdzając osadzenie trzonowców po lewej stronie twarzy, gdzie dostał porządnym sierpowym od Majsla.

— Ale co? — Helga siedziała w bocznych drzwiach medikotpera i metodycznie czyściła jedno z dwóch małych uzi, które nosiła na biodrach.

— Czekamy na wezwanie, czy robimy patrole?

Oleg usłyszał sarknięcie gdzieś za swoimi plecami, po którym nastąpiło siorbnięcie połączone z kaszlem. Najwyraźniej pilot wciągnął wódkę nosem.

— Kto by marnował ogniwa paliwowe na patrole? — zakpił.

— To siedzimy na dupie aż coś się wydarzy, czy...

Biiip! Biiip! Biiip!

Uporczywe piszczenie *smartsleeva* brutalnie rozwiało jakiekolwiek nadzieje na chociażby strzępki podstawowych informacji. Przy medikopterze zawrzało.

— Hej! Ładujemy się! Ruchy! Zlecenie krytyczne! — Grzesio zaskakująco przytomnie wskoczył do kokpitu i natychmiast odpalił wiropłat. Helga oraz Majseł bez słowa zebrali liczne uzbrojenie, po czym rozsiedli się wygodnie po prawej i lewej stronie kadłuba, przy otwar-

tych przesuwanych drzwiach. Majseł z radością zarepetował CKM na wysięgniku, a Helga wyciągnęła z podsufitkowego schowka granatnik bębnekowy.

Oleg bezmyślnie wskoczył do wysłużonego ambulansu i zajął jedyne krzesło — obok solidnej stacji podtrzymywania życia i repulsorowych noszy. Idąc śladem reszty ekipy założył na głowę błękitny hełmofon z logiem ERKA S.A. na czole. Od razu usłyszał skupiony głos pilota:

— Trzydzieści-trzy, zgłaszam się. Kod zlecenia: 148. Numer klienta: PT2873. Liczba napastników nieznana. Lokalizacja... slumsy tarnowskie. Podejmujemy akcję ekstrakcyjną.

Oleg był w szoku, że pilot nie bełkotał. W końcu śmierdział jak maltańska gorzelnia Wyborowej.

Helga wyła z radości, gdy ambulans podrywał się do lotu. Majseł siedział nieruchomy jak skała, a Oleg starał się nie wyrzygać kolacji.

— Co to jest kod 148?! — krzyknął do hełmofonu.

— Zabójstwo — usłyszał Helgę. — Kojfnęli nam klienta. Będziesz miał co składać doktoru.

— Lecimy do trupa?! — niedowierzał Oleg.

— Hajs się musi zgadzać — usłyszał dziwnie spokojny głos Grzesia. — PT2873 ma ubezpieczenie premium, razem z pakietem cybernetycznym. Włącz apkę w hełmofonie i zsynchronizuj go sobie ze *smartsleeve*m, to zobaczysz szczegóły. Dane medyczne, raport obrażeń i inne pierdoły. Podobno wam się przydają.

Oleg przywołał na wizjer akta medyczne ich klienta — młodego, śniadego bossa mafii wronieckiej z obrzydliwym gustem do fioletowych dredów.

Aktualnie martwego, biorąc pod uwagę odczyty z jego wszczepu medycznego.

Medikopter z szaleńczą prędkością przecinał nocne niebo Poznania, a Oleg wczytywał się w odczyty systemu operacyjnego klienta. Stężenie kortyzolu w organizmie wskazywało na praktycznie natychmiastową śmierć. Moduł zarejestrował też jedenaście cylindrycznych perforacji ciała.

Oleg skrzywił się. Pięć ran postrzałowych na wylot, jeden pocisk gdzieś utknął, nie żyje od kwadransa. Niby marne szanse, ale większe cuda widział na zajęciach z neuro-resuscytacji.

— Dziesięć sekund do celu. Wuchta bandytów wokół klienta. Trafiła kosa na kamień, do-rwali go Kolejarze — przerwał mu rozmyślania suchy komunikat Grzesia.

Majseł cmoknął z niezadowolenia, zmartwienia lub niecierpliwości. Oleg wolał nawet nie zgadywać, która opcja była poprawna i czy w ogóle ta wiedza jest mu do czegoś potrzebna.

Ponadto lekarz nawet nie zdążył się zdziwić, co gang z centrum robi na przedmieściach, kiedy o ambulans zgrzytnęły już pierwsze rykoszety z broni maszynowej.

Zalał go zimny pot. Strzelali do niego, bo leciał do pacjenta! A to Polska właśnie...

Nie pozostali dłużni. Ogłuszający terkot CKM-u obwieścił wszem i wobec przybycie pogotowia ratunkowego. Oleg nie miał pojęcia jak powinien się zabrać do tej akcji, więc postanowił poczekać na jakiś znak od Helgi.

Tyle że Helgi już w ambulansie nie było.

Nonszalancko wyskoczyła 20 metrów nad ziemią, prując z granatnika na wszystkie strony. Kompozytowy pancerz złagodził jej lądowanie, a zaporowa nawałnica materiałów wybuchowych gruchotała domy i niszczyła wszystko w zasięgu wzroku — poprawiając po wstępnej masakrze autorstwa Majsla i jego CKM-u. Oleg oniemiał.

— Na co, kurwa czekasz?!

Krzyk pilota wyrwał lekarza z letargu. Najwyraźniej zdążyli już wylądować. Oleg wyskoczył z medikoptera, taszcząc za sobą repulsorowe nosze. Kątem oka widział uśmiechniętą od ucha do ucha Helgę, naparzającą do gangsterów z uzi. Widocznie skończyła jej się amunicja do granatnika.

Medyk błyskawicznie dopadł do „specjalistki”.

— Gdzie jest pacjent? — ryknął jej do ucha, przekrzykując terkot pistoletów maszynowych.

Helga zaciągnęła go za najbliższą kupę gruzu, która przed ostrzałem Majsla była czymś domem i zadowolona z chwilowej osłony poświęciła całe trzy sekundy, żeby popatrzeć na lekarza jak na skończonego debila.

— Masz radio w hełmofonie — usłyszał jej cichy, metaliczny i lekko rozbawiony głos w uchu. — Poza tym włącz sobie śledzenie jego med.-chipu na *smartsleeve*. Co z ciebie za ratownik, tej?

— Początkujący — odburknął Oleg i wywołał nawigację do celu na swój wizjer.

U ich stóp wylądował granat hukowy. Zanim lekarz zdążył choćby soczyście zakląć, Helga kopnęła go wdzięcznie w stronę ostrzeliwujących ich gangsterów. Błysnęło i usłyszeli warkliwy jęk, przerywany niewyszukanymi inwektywami na temat braku cnoty czyjejś matki.

— Dobra, trzymaj się blisko i w miarę możliwości osłaniaj mi plecy. — Helga założyła nowy bębenek do granatnika. — Klient jest w tamtym magazynie. Grzesiu, potrzebujemy dywersji.

— Właśnie nawracam kochaniutka.

Usłyszeli huk wiropłatu chwilę przed tym, jak CKM zaczął kasać szeregi gangsterów osaczających naziemną ekipę ratunkową. Helga wyskoczyła zza gruzów, a Oleg niewiele myśląc skoczył za nią. Nawet nie zauważył od kiedy trzyma w ręku swojego Glocka.

Specjalista parę razy strzeliła zaporowo z granatnika, biegnąc go magazynu. Lekarz dreptał jej po piętach, ciągnąc nosze. Dopadli do drzwi zanim jeszcze CKM rozładował swoją taśmę amunicji.

Na korytarzu znaleźli tylko jednego strażnika z gangu kolejarzy. Zanim zdążył wycelować Helga powaliła go potężnym ciosem kolbą prosto w twarz. Oleg aż się skrzywił, gdy usłyszał trzask pękającej kości jarmowej. Gówniarz padł nieprzytomny na lepką od brudu i piwa podłogę.

— Za tamtym winklem — Helga skinęła na lekarza, wyjmując uzi. — Ja prowadzę.

Ruszyli. Korytarz serwisowy magazynu był długi, ciemny i śmierdzał trutką na szczury lub tanim piwem importowanym z Konfederacji Sowieckiej. Tylko wytrawny koneser potrafiłby rozróżnić po zapachu te dwie substancje.

Po smaku zresztą też.

Oleg pocił się pod hełmem. Nerwowo wodził pistoletem od drzwi do drzwi, spodziewając się zasadzki. Budynek był jednak pusty.

W Końcu doszli do jakiegoś magazynu, w którym zgodnie ze wskazaniem ich sprzętu powinno leżeć ciało ich klienta. Helga bezceremonialnie przestrzeliła zamek i kopniakiem rozwaliła drzwi. W zatęchłym składziku znaleźli ku ich nieskrywanemu zdumieniu nieco środków czystości, odkurzacz przemysłowy oraz skrzynie ze szczurzą trutką, stojące na beczkach z sowieckim piwem. Tajemnica zapachów została wyjaśniona...

Aha, no i w rogu leżało byle jak walnięte ciało ich klienta. Oleg dźwignął mężczyznę i rzucił go na nosze.

Banalna diagnoza — trzy rany brzucha, przebite na wylot lewe płuco, nabój w prawej tętnicy udowej i przestrzelony policzek. Brak akcji serca.

Pestka.

Podał dwie dawki neuro-chemów resuscytacyjnych, po czym sprawnie zalepił pianką tkanową rany. Osadzony w ciele nabój bezceremonialnie wydłubał skalpelem. Odetchnął z ulgą. Zwykle 5,56 mm. Brak zakażenia brudnym uranem, czy innym świństwem.

Helga nie wtrącała się, tylko omiatała wzrokiem korytarz. W hełmach słyszeli Majsla, radośnie naparządzającego w gangsterów z CKM-u.

Delikatne szurnięcie nad nim przerwało Olegowi pracę między podłączaniem automatycznego defibrylatora i podawaniem inhibitorów. Z szybu wentylacyjnego wypadł ulicznik z no-

żem większym niż jego ramię. Lekarz zdążył odpiąć kaburę, ale nie zdążył wyciągnąć Gloc-ka.

Ulicznika z maczetą skosiła krótka seria z uzi.

— Ruchy! — skonstatowała lakonicznie Helga, wracając do obserwacji korytarza.

— Dzięki. — wymamrotał Oleg, kontynuując stabilizację pacjen... znaczy — trupa.

Po minucie dłubania przy ciele medyk w końcu włączył maszynę podtrzymywania życia przy noszach, po czym wśród koncertu CKM—u latającego gdzieś ponad magazynem odpalił repulsory i odznaczył na *smartsleeve* stabilizację pacjenta. Według wszystkich standardów medycznych mafioso żył. Póki co.

— Ha! Gotowi do ekstrakcji Grzesiu. — Helga radośnie klepnęła Olega w plecy.

— Trochę gorąco wokół tego magazynu kochanie. — odsapnął pilot. W tle słyszeli terkotanie gangsterskich kałachów.

— Nie masz gdzie usiąść? — syknęła.

— *Niet*. Wystrzelają nas jak kaczki.

Nawet Majseł chrząknął na potwierdzenie.

— Kurwa. — skonstatowała odkrywco Helga.

Oleg popatrzył na pustą halę magazynową po drugiej stronie korytarza.

— Majseł... — zaczął powoli. — Tu jest pusto. Możesz rozwalić dach dwadzieścia metrów na północny wschód od naszej lokalizacji?

Po kilku sekundach ciszy w radio rozległ się rubaszny śmiech.

— Swój chłop. — basowy głos Majsla był jak gwałt na bębenkach usznych.

— Pojechało was! — warknął Grzesiu, po czym usłyszeli dziwny, maniakałny chichot. — Podobają mi się!

Parę minut później eksplozja celnie zrzuconej paczuszki plastiku zerwała dach z magazynu. W gruzach lekko i z gracją osiadł wiropłatowy ambulans. Olega z Helgą tylko na to czekali i już po chwili do medikoptera wleciała na repulsorowych noszach naziemna ekipa ratownicza, okrakiem siedząca na ledwo żywym pacjencie. Po kilku dodatkowych chichotach i przytykach dotyczących ujeżdżania klientów byli już bezpiecznie w powietrzu.

Majseł z uznaniem poklepał Helgę i Olega. Lekarz skrzętnie ukrył swoje przerażenie akcją. Postanowił się czymś zająć i wbił wzrok w pulsometr, rejestrujący słabe tętno klienta.

W sumie nie wierzył za bardzo w to, co widział. Klient definitywnie żył.

— Nowy! Zajełbista robota! Masz naturalny talent! — usłyszał zadowolonego Grzesia. — Podłącz jego *smartsleeve'a* do kasy fiskalnej, póki nam nie kojfnął. Do szpitala daleko.

— Że co?! — syknął uwijający się wokół klienta Oleg.

— Liczy się każde życie — wesoły głos Grzesia był absolutnie wypruty z empatii. — Dosłownie! Także wystaw z łaski swojej panu PT2873 fakturę, póki możemy mu ją ściągnąć z konta. Nie wiemy, czy doleci.

Oleg zamilkł wpatrując się w ciało ich klienta — w mafijnego bossa, skutecznie zamordowanego na przedmieściach zniszczonego wojnami gangów miasta. Chwilowo wskrzeszonego.

Musiał go zafakturować za umożliwienie mu dalszego życia na tym gównianym świecie.

— Nas wszystkich popierdoliło! — wyszeptał z niedowierzaniem.

—Mhm — potwierdziła Helga, chowając granatnik do schowka. — Witamy w służbie zdrowia!